

Rozdział dwudziesty trzeci

Zacisnąłem powieki, a potem przycisnąłem je palcami tak mocno, że aż pojawiły się gwiazdy. To wszystko nic nie znaczyło. Absolutnie nic, prawda? To była tylko głupia ludowa opowiastka z czasów, których i tak nikt już nie pamięta, nic więcej.

Poza tym, że chłopcy, których przyłapałem na dziwnym śpiewie, byli przekonani, że to odgłos, który wydają duchy z lasu. Poza tym, że s a m w i d z i a ł e m coś w lesie. Poza tym, że kiedy tylko poprzedni właściciel zabrał się do masakrowania starych drzew, zaczęły mu się przytrafiać dziwaczne przygody. Poza tym, że coś posiekało na kotlety urządzenia do wycinki, żebyśmy nie mogli pójść w jego ślady. Poza tym, że goniła mnie dziewczynka z paszczą pełną ostrych kłów, a ojciec widział w niej tylko wilka. I poza tym, że drzewa na zewnątrz robiły wrażenie w ś c i e k ł y c h .

Poza tym, że w tym lesie ciągle giną ludzie. Ponownie otworzyłem oczy. Tom encyklopedii pozostał otwarty na stronie z przerażającym rysunkiem varulva.

„Chyba tracę rozum”, pomyślałem. „Jak Boga kocham, zaczyna mi regularnie odbijać. Na pewno jest jakieś inne wyjaśnienie, tylko muszę je odnaleźć”.

Zostawiłem tom encyklopedii na podłodze. Nie było mowy, żebym miał przeczytać choćby jedno słowo więcej z tych bzdur. Ani teraz, ani – całkiem możliwe – nigdy, ale podniosłem zdjęcie i notatkę. Potem opuściłem bibliotekę i poszedłem korytarzem do gabinetu. Wciąż było wcześniej, a w domu panowała cisza, ale z zewnątrz dochodziły odgłosy wiatru i drzew wściekle kiwających się w tę i na z ad, jak gdyby chciały rozszarpać świat na strzępy. A może tylko żyjących na nim ludzi.

Pozostałe polaroidy i stare zdjęcia wciąż leżały na biurku. Rozłożyłem je w dwóch rzędach: w górnym polaroidy Erika, a poniżej czarno-białe portrety rodzinne. Umieściłem najnowsze znalezione selfie Erika obok pozostałych i zmusiłem się, żeby ponownie je obejrzeć. Wciąż przyprawiało mnie o dreszcze.

Potem odwróciłem zdjęcia grupowe, żeby jeszcze raz spojrzeć na opisy i daty znajdujące się na odwrocie. Ciekawe, skąd Erik znał daty wszystkich zaginięć? Doszedłem do wniosku, że mógł zadzwonić do miejscowego komisariatu policji i o to zapytać. W końcu policja chyba wie takie rzeczy, no nie? Nawet jeżeli akta są naprawdę stare, to wciąż muszą być w jakichś archiwach. A zresztą wydarzenia tego rodzaju zapadają ludziom w pamięć, prawda? Jeżeli w jednym miejscu na przestrzeni kilku dekad ginie wiele osób, to k t o ś musi o tym pamiętać. Postanowiłem, że pójdę za przykładem Erika.

Ale nie zdążyłem. Sięgałem już po słuchawkę, kiedy znów odezwał się ten cholerny dźwięk: sygnał grany na myśliwskim rogu, śpiew czy sam nie wiem co jeszcze. Dobiegał z miejsca bliższego niż kiedykolwiek wcześniej. Wznosił się i falował przejmująco, prawie jak głos człowieka, ale nim nie był. Zastygłem, próbując go ignorować, ale wciąż go słyszałem.

I wtedy dobiegł mnie krzyk:

– Ingrid! INGRID! Gdzie jesteś?

To był ojciec. Usłyszałem trzaśnięcie drzwi do sypialni rodziców i tupot kroków. Ojciec biegał od

pokoju do pokoju, otwierał i zamykał drzwi i wołał mamę po imieniu. Wybiegłem z gabinetu i popędziłem korytarzem do holu wejściowego.

Podwójne drzwi wejściowe były otwarte na oścież. Ich skrzydła obijały się o ściany na ryczącym wietrze, który szalał w domu, wdmuchując śnieżycę do wnętrza.

– Tato! – wydarłem się. – TAAATOOO!

Wybiegł na balkon i wychylił się przez balustradę. Kiedy dostrzegł otwarte drzwi, jego twarz zbladła niezdrowo.

– Widzisz ją tam? Wyszła na dwór?

– Nie wiem. – Starałem się przekrzyczeć wycie wiatru. Ojciec zbiegł po schodach i ominął dziurę w podłodze.

– Musimy ją znaleźć.

– Na pewno nie wyszła na zewnątrz – powiedziałem. – Nie w taką pogodę. Może poszła do łazienki?

– Nie ma jej w łazience – zazgrzytał ojciec. Podszedł do drzwi, podnosząc rękę, żeby osłonić oczy przed lodowatymi ukąszeniami niesionych przez zadymkę płatków śniegu.

– No, rusz się i mi pomóż!

Nie mieliśmy na sobie kurtek, ale wyszedłem za nim na dwór. Wiatr był tak silny, że kiedy znalazłem się za drzwiami, prawie mnie przewrócił. Nie byłem w stanie oddychać. Gwałtowny podmuch uderzył mnie w pierś, miażdżąc płuca. Wziąłem dychawiczny oddech i poczułem, jak lodowata tarka powietrza parzy mnie w gardło. Usta od razu zaczęły mi zamarzać.

– TATO! – krzyknąłem. – TATO!

Ciemny zarys jego postaci odwrócił się, wyciągnął rękę i ojciec chwycił mnie za ramię. Pociągnął mnie za sobą ze schodków przed wejściem. Pokonaliśmy chwiejnie ledwie kilka kroków, ale miałem wrażenie, jakbyśmy zanurzali się otchłani. Już nawet dom zniknął mi z oczu. Widziałem tylko chaos śnieżnej burzy, kłębiące się wokół nas gwałtownie pasma bieli. Ojciec trzymał mnie za ramię i nagle zaczął nim potrząsać. Zrozumiałem, że chce, żebym spojrzał na coś, co dostrzegł na ziemi.

Ślady stóp. Oddalały się od domu i już zaczynały znikać pod świeżym śniegiem.

Podtrzymując się wzajemnie, ruszyliśmy tam, dokąd prowadziły. Było mi tak zimno, że straciłem

czucie w palcach. Śnieżnica pozbawiała tchu, szarpała za ubranie i cięła skórę mrozem. Nie słyszałem nic poza wściekłym wyciem wiatru. Nie widziałem nic z wyjątkiem pędzącego śniegu.

I wtedy dostrzegłem jakiś kształt. A właściwie nawet nie kształt, tylko ciemniejszą plamę pośród kłębow bieli, gdzie rozmyta kipiela wirowała trochę słabiej. Był to jeden jedyny stały punkt, dokładnie przed nami.

Mama.

O mało na nią nie wpadliśmy. Chyba klęczała na śniegu. Ojciec puścił moje ramię, złapał mamę i pociągnął w górę, pomagając jej wstać. Zrobiłem tak samo. Chyba coś krzyczała, ale w zawierusze, przy świszczącym wietrze mogło mi się tylko wydawać. I wtedy, na sekundę, śnieg się rozstał. Spojrzałem w górę – drzewa stały wokół nas, a potworna czarna masa ich koron wiła się straszliwie. Zastaliśmy mamę klęczącą u podnóży ich pni. Mama klęczała właśnie przed nimi. Zawołałem ją, ale nawałnica wydarła mi słowa z ust. Potem coś pociągnęło mnie do tyłu, to ojciec zaczął wycofywać się do domu, wlekąc za sobą mamę i mnie. Brnęliśmy, podtrzymując mamę między sobą, potykając się,

zatrzymując i ponownie ruszając z miejsca. Myślałem, że nigdy nie odnajdziemy wejścia do domu. Wydawało mi się, że wiatr spycha nas z powrotem między drzewa. Że będziemy tak brnąć i zataczać się oślepieni przez śnieg, krążyć, zapuszczać coraz głębiej w lasu i coraz dalej od domu, aż zgubimy się na amen i już nikt nigdy nie zdoła nas odnaleźć.

W tym lesie ciągle giną ludzie.

Jakimś cudem ojcu udało się doholować nas do domu. Wchodząc do środka, potknęliśmy się o próg, runęliśmy jak dłudzy na podłogę i przez chwilę leżeliśmy jedno na drugim, usiłując złapać oddech, a zadymka wdzierła się do holu. I wtedy zobaczyłem krew.

– Tato, mama krwawi – powiedziałem wysokim, spanikowanym głosem, gramoląc się na kolana. – Tato!

Ojciec już ją oglądał. Posadził ją na podłodze i wyciągnął do siebie jej ramiona. Jej biała skóra była pocięta w poprzek nadgarstków, a rany broczyły szkarłatem.

– Ona mówi, że on nie może mnie odnaleźć – powiedziała skołowanym głosem. – Że miałam mu wskazać drogę do mnie. Teraz już mnie odnajdzie.

Już wszystko dobrze. Nic mi nie jest. To po to, żeby mógł mnie odnaleźć. Wtedy będzie mógł mi powiedzieć, jak ma na imię.

„On nie wie, jak ma na imię – pomyślałem, a w mojej głowie zabuzowała panika. – Dorotea kłamała, sugerując, że on je zna. Bo on jest jednym z nich. Nie może być inaczej. Jest jednym z zaginionych. On jest..”.

Ojciec zacisnął dłonie na nadgarstkach mamy i spojrzał na mnie. Na jego twarzy malowało się czyste przerażenie.

– Wezwij pogotowie lotnicze – powiedział. – Niech tu NATYCHMIAST przylecą!

Wstałem i pobiegłem do telefonu w holu. Chwyliłem słuchawkę i podniosłem ją do ucha.

Nie było sygnału. Telefon nie działał.

Nad dziurą w podłodze moje spojrzenie spotkało się ze wzrokiem ojca.

Byliśmy zupełnie odcięci od świata.